

**NOWA KONFEDERACJA** nr 23 (35)/2014

INTERNETOWY TYGODNIK IDEI

5–11 czerwca

cena: 0 zł



**WIECZNY PO-PIS?**

**W numerze:**

**Kartel przywiślański**

Michał Kuź . . . . . 3

**PO-PiS, czyli konflikt teatralny**

Rafał Matyja . . . . . 7

**Jeśli się sprzedawać, to drogo!**

Jacek Bartosiak . . . . . 10

**Wielka niewola bankowa**

Krzysztof Rybiński . . . . . 12

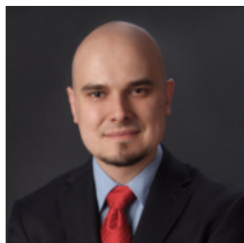
**Czy żałować róż na kraterze?**

Ewa Thompson . . . . . 15

**Jugosławia, czyli o dawaniu złego przykładu**

Adam Kałużny . . . . . 20

## Kartel przywiślański



**MICHAŁ KUŹ**

Redaktor „Nowej Konfederacji”

**W Polsce scementowany partyjny układ powstał stosunkowo niedawno i jest jeszcze dość stabilny. Można by teraz zadbać o lepszą komunikację na linii partie–społeczeństwo. Niedługo będzie już za późno.**

„Tak naprawdę są dwie partie” – powiedział niedawno prezes Jarosław Kaczyński. Jak potem dodał, „cała reszta tak naprawdę nie ma wielkiego sensu”. Istotnie, polski system partyjny ewoluje w kierunku kartelu (PO, PiS, SLD, PSL) z silnymi tendencjami duopolistycznymi (PO-PiS). Poza zaletami niesie to ze sobą naturalnie pewne zagrożenia. I można byłoby im przeciwdziałać, gdyby nie niedojrzałość elit politycznych i brak wizji nawet u tych, którzy na chwilę stawiają jedną stopę na progu kartelu.

### **Państwo versus społeczeństwo**

Generalnie rzecz biorąc, każdy współczesny demokratyczny system partyjny jest zagrożony dwiema podstawowymi patologiami: niestabilnością i zupełną kartelizacją. Niestabilność, czyli sytuacja, w której nawet większościowe, wygrywające wybory partie mogą z dnia na dzień zniknąć ze sceny politycznej, jest groźna dla państwa. Prawo zmienia się wtedy szybko i często, a w polityce zagranicznej

i zarządzaniu administracją brak kontynuacji i konsekwencji. Rośnie też korupcja na zasadzie: używajmy my i nasi koledzy, póki jesteśmy u władzy. Jednocześnie jednak w niestabilnym systemie partyjnym wzmocniona zostaje rola społeczeństwa. Ugrupowania i ruchy społeczne tworzy się łatwo, a nastroje społeczne są natychmiast przekładane na język aktywności politycznej. W Polsce w okresie szczytowej niestabilności powstała wszak nawet Partia Przyjaciół Piwa.

Skostniały, czyli skartelizowany system partyjny, jest zaś dobry dla państwa w tym sensie, że je wzmacnia i stabilizuje. Dzięki dotacjom budżetowym, dostępowi do mediów, regulacji ordynacji oraz wparciu instytucji rządowych formacje stają się w nim w pewnym sensie same organami państwowymi. Nowym ugrupowaniom trudno jest się przebić, a jeśli im się już to uda, to wyraźnie brakuje im know-how, by swoją pozycję utrzymać. Jednocześnie jednak partyjna kartelizacja jest na dłuższą metę sytuacją mało komfortową dla społeczeństwa. Skartelizowane

ugrupowania zajmują się bowiem w pierwszym rządzie aparatem państwowym, który je karmi, a dopiero w drugim postulatami swoich wyborców. Zamiast konkurować, często też ze sobą współpracują i nie zależy im też przy tym na żadnych radykalnych zmianach. Jeśli zaś pojawia się potrzeba takich zmian, to politycy zwykle dostrzegają ją dopiero, gdy ta potrzeba wyjdzie na ulice.

Wtedy również może dojść do załamania władzy kartelu. Ci, którzy ją łamią, to jednak często populiści, którzy świetnie wsłuchali się w nastroje niesłuchanego dotąd społeczeństwa, nie mając przy tym zielonego pojęcia o rządzeniu. Dlatego też po dojściu do władzy podejmują decyzje nieprzemyślane, wypychają swoje państwa w niepotrzebne konflikty i lekką ręką trwonią ich potencjał.

Zdaniem wielu specjalistów system polityczny w Europie jest dziś głęboko skartelizowany. W Europie Zachodniej to jednak faza późna, formacje populistyczne już więc depczą tam kartelom po piętach. W Polsce natomiast kartel powstał stosunkowo niedawno i jest jeszcze dość stabilny. Jest więc jeszcze czas na to, aby zadbać o lepszą komunikację na linii partie–społeczeństwo. Potem może być już za późno. Społeczeństwo o swoje prawa może bowiem upomnieć się samo i przy okazji zdestabilizować państwo, które, jak podkreśla Artur Wołek, i tak przecież do silnych nie należy.

### **Piorunochron**

Oczywiście rosnąca popularność Kongresu Nowej Prawicy dowodzi, że i w naszym kraju partie antysystemowe nie śpią. Korwin-Mikke jest jednak dla PO-PiS-owego kartelu niemal wymarzoną antysystemowcem. Jak piorunochron będzie on

bowiem kumulował społeczne niezadowolenie, a następnie je uziemiał bez żadnej szansy na przerobienie tej siły na produktywny kapitał polityczny. Trudno zliczyć, ile już dobrych szans Korwin zmarnował. Ile wysiłków działaczy, sympatyków, aktywistów i sprzyjających mu publicystów utopił w swoim bezmyślnym słowotoku. Obserwacja jego długiej kariery politycznej skłania wręcz do wniosku, że jest on albo politykiem nieprzeciętnie nierasobliwym, albo wręcz ukrytym agentem poważniejszych politycznych graczy.

**Młodzi muszą swoje ewentualne zdolności przywódcze ukrywać przed pryncypałami albo jeszcze lepiej: muszą być autentycznymi płaskimi klakierami. Od lat nie było pokolenia tak przyblokowanego**

O ukryte sprzyjanie kartelowi oskarżano także Janusza Palikota. Trudno teraz ocenić, na ile było to słuszne. Już dziś jednak wiadomo, że był on czymś, co Anglosasi nazywają „one trick pony”. Kimś, kto nauczył się jednej sztuczki i choć na chwilę zdobył poklask, to nie umiał sobie tą sztuczką zapewnić przetrwania.

Istotnie, wojny krzyżowe na Krakowskim Przedmieściu chwilowo zmobilizowały elektorat antyklerykalny. Polski antyklerykalizm jest jednak co do zasady włościańskiej proveniencji. Świetnie

rozumie to Jerzy Urban – jego „Nie” to modelowy wręcz przykład eksploatacji tego sposobu myślenia. Włóściański antyklerykał lubi sobie bowiem po cichu na Kościół wymyślać, często wulgarnie. Jednak jakiś genderowy, programowy, mieszczański laicyzm to zdecydowanie nie jego klimaty. Dlatego choć Palikot miał złoty róg, w ręku ostał mu się tylko... powiedzmy, że sznur.

### **Dzieciaki i starszaki**

Podobnie jak Palikot niezdolni do budowania przekonujących elektorat narracji okazali się politycy z Solidarnej Polski i Polski Razem. Zagniewanie na Kaczyńskiego to bowiem zdecydowanie za mało, aby przekonać niezdecydowanych wyborców o prawicowym nastawieniu. To, że PiS wcale nie kwapi się do rządzenia i jest mu niesłychanie wygodnie w pozycji wiecznej opozycji, która wszystko może krytykować, za nic nie odpowiadając, nie jest zaś, jak się okazuje, aż tak ważne dla wyborców. Jarosław Kaczyński zdążył bowiem wychować sobie wiernych wyznawców o nastawieniu milenarystycznym. Będą oni czekać nowej jutrzeńki choćby i latami.

Dopiero zorganizowany bunt popierających obecnie PiS mediów prawicowych i próba wykreowania przez nie nowych liderów mogłyby skłonić prezesa do zmiany strategii, odsunięcia Macierewicza i walki o realną władzę. Tu jednak prezesa zabezpiecza poparcie SKOK-ów, które część z owych mediów finansują. PO zaś o tym dobrze wie i dlatego nie robi nic, co mogłoby w interesy PiS, SKOK-ów i spółek pokroju Srebrnej uderzyć. Co by to bowiem było, gdyby w PiS rządził ktoś, komu naprawdę zależy na władzy? A tak mamy jeden krok w przód i jeden w tył. Raz

lepszy wynik, raz gorszy. Centrowy elektorat zawsze jednak i tak w końcu odstraszy nieoceniony Antoni Macierewicz.

I nie ma znaczenia, czy ta współpraca pomiędzy PO a PiS jest strategią przemyślaną, czy też „samo tak wyszło”. Kartelowy PO-PiS jest faktem. Problem tylko w tym, że jeśli ten odwrócony plecami do społeczeństwa układ przetrwa, to kiedyś może dojść do wybuchu niezadowolenia, którego nie odbije nawet manipulowanie Korwinem – piorunochronem.

Jeden ze sposobów leczenia polskiego systemu partyjnego już nakreśliłem w tekście „Stwórzmy polskie partie prawa”. Polegałby on na ucieczce do przodu, czyli uznaniu, że choć nie możemy nic poradzić na upaństwowienie ugrupowań, to możemy, mocniej je upaństwowiając, zadbać o to, by do ich struktur władzy dopływało więcej świeżej krwi i by były one bardziej przyjazne dla społeczeństwa. Partie pobierające pieniądze z budżetu musiałyby więc 1) wprowadzić absolutny limit liczby kadencji sprawowanych przez prezesów i zarząd, 2) obierać kandydatów na drodze prawyborów, w których głosowali zarówno członkowie, jak i zarejestrowani sympatycy, 3) przeznaczać określoną część funduszy na doksztalcenie swoich działaczy. W ten oto sposób formacje kartelowe można by teoretycznie przekształcić w coś, co nazywam „polskimi partiami prawa”.

Poza oczywistymi trudnościami konstytucyjnymi po ostatnich wyborach wyraźniej dostrzegam jednak jeszcze jeden problem. Niesłychanie zhierarchizowana struktura polskich ugrupowań i żenująco niski poziom edukacji politycznej na polskich uniwersytetach sprawiają, że liderzy z prawdziwego zdarzenia pojawiają się tylko od przypadku do przypadku.

Gdyby dziś zgodnie z prawem limitu kadencji odejść mieli zarówno Kaczyński,

jak i Tusk, to nie byłoby ich kim zastąpić i cały system ponownie by się zdestabilizował. Na następcę Kaczyńskiego kreowano wszak kiedyś Zbigniewa Ziobrę. Jego działania w Solidarnej Polsce dowiodły, jak wiele mu jeszcze brakuje. Na lewicy Leszka Millera miał zastąpić Palikot. Bez komentarza.

A przecież sztukmistrz z Biłgoraju i tak wcale do najmłodszych nie należy. W tym roku skończy 50 lat. Pokolenie obecnych 30-latków jest w jeszcze gorszej niż on sytuacji. To bowiem ludzie niemający do dorosłej polityki niemal żadnego dostępu, a przez to tragicznie zapóźnieni w rozwijaniu swoich politycznych umiejętności. By przetrwać wewnątrzpartyjne gierki, młodzi muszą swoje ewentualne zdolności przywódcze ukrywać przed pryncypałami albo jeszcze lepiej: muszą być autentycznymi i płytkimi klakierami. Adam Hofman może coś o tym pewnie powiedzieć. Od lat nie było pokolenia tak przyblokowanego.

Brak doświadczenia sprawia zaś, że młodym politykom trudno jest się zorganizować poza głównym partyjnym nurtem. Obecnie metrykalnie najmłodszą formacją jest Ruch Narodowy, który w eurowyborach uzyskał 1,5 proc. Nie wszedł więc do mainstreamu pomimo prób, by schować nieco nacjonalistyczne pazury swojej dość radykalnej bazy. A co jeśli młodzi zupełnie machną na kartel ręką i postawią na zupełny radykalizm?

### **Słaba szkoła**

Co gorsza, o ile młodzi działacze nie uczą się polityki w praktyce, to tym bardziej nie uczą się jej w teorii. Polska humanistyka kształci bowiem nie polityków, lecz

politruków. Naturalne talenty zaś dziczejają i wyrastają na zimnych cyników zainteresowanych władzą dla samej władzy.

Jest przy tym oczywiście czymś zwyczajnym, że masowa edukacja opiera się zawsze na panujących w społeczeństwie przesądach. Na większości uczelni i w większości szkół zawsze „mieli” się do znudzenia jakiś marksizm, queer czy gender. W innych miejscach i czasach króluje zaś kreacjonizm albo odpowiednio spreparowany przez ojców przełożonych wykaz lektur prawomyślnych. Tak po prostu jest i trudno się na to obrażać.

Poważne państwa poza przesyconym zabobonami systemem edukacji masowej mają jednak wyspecjalizowane instytucje kształcące polityczne elity. Rokrocznie większość amerykańskich kongresmenów to absolwenci trzech uczelni (przeważnie wydziałów prawa). Podobnie w Anglii i Francji, nieco bardziej ekumenicznie jest w Niemczech, choć i tu pewne placówki się wyróżniają. Nawet w Rosji, niezależnie od tego, czy rządził akurat stalinizm, czy eurasjatyzm, osławiony Moskiewski Państwowy Instytut Stosunków Międzynarodowych zawsze nieodmiennie kształcił wybitnych dyplomatów, polityków i analityków.

Nasz system edukacji elit jest zaś na wskroś neokolonialny. Opiera się nie na filozofii państwa i polityki, tylko na ideologicznym nowinkarstwie. Nie ma polskiej Ivy League czy Oxbridge, a wzorowane na francuskich instytucje typu KSAP nie produkują niestety jeszcze ludzi o dostatecznie szerokich horyzontach. W polityce rządzą więc ci, którzy działać nauczyli się wyłącznie na własnych błędach i do tego często postrzegają polską rację stanu w sposób dość wypaczony. Dzieciaki mają się zaś bawić same.

## PO-PiS, czyli konflikt teatralny



**RAFAŁ MATYJA**

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

**Dlaczego duopol wyborczy PO-PiS jest tak silny? Kaczyński „dotknął bardzo głębokich polskich emocji, które wyczuł lepiej od innych”. A Tusk z tej innowacji skorzystał, dysponując większymi zasobami.**

Wynik wyborów europejskich wzmacnia prawdopodobieństwo trzeciej kadencji rządów Donalda Tuska. Od siedmiu lat konsekwencją wyborczego duopolu PO-PiS nie jest bowiem równorzędna walka tych partii o władzę, ale stabilizacja rządów PO. Stabilizacja oparta na przekonaniu, że Platforma nadal „nie ma z kim przegrać”, a nawet jeżeli poniesie symboliczną porażkę, to dzięki potencjałowi koalicyjnemu jej skala nie będzie tak wielka, by wymuszała oddanie władzy PiS. Dziś tylko zmiana nastawienia PSL mogłaby doprowadzić do naruszenia status quo.

Polskie Stronnictwo Ludowe jest jednak partią o słabym profilu ideowym czy programowym, za to o bardzo wyrazistych partykularnych interesach. Jeżeli po wyborach samorządowych zawrze korzystne dla siebie koalicje sejmikowe z PO i będzie miała realne szanse na umocnienie pozycji w administracji rządowej po wyborach parlamentarnych, bardzo trudno będzie znaleźć argumenty na zmianę sojusznika.

### **Młodzi przeciwko PO-PiS**

Jedynym czynnikiem zmiany wydaje się fakt, że narracja PO i PiS nie trafia do znaczącej grupy wyborców młodego pokolenia. Świadomie nie powtarzam magicznej liczby 28 proc. (odsetek ludzi młodych, którzy według Ipsos poparli Nową Prawicę), bo nie wiemy, co myśli ta część młodych, która do wyborów europejskich nie poszła, ale zagłasuje w wyborach parlamentarnych i prezydenckich. Co więcej – warto zauważyć nie tylko wysoki poziom poparcia dla Korwin-Mikkego, lecz przede wszystkim ucieczkę poza dylemat PO-PiS.

W grupie powyżej 60 lat na te dwie formacje głosowało (wg Ipsos) 73 proc., w grupie 40–59 – 68 proc., w grupie 26–39 lat już tylko 57 proc. Wśród najmłodszych wyborców głosy na PO i PiS oddało tylko 40 proc. To czynnik pokoleniowy bez wątpienia stanowi najważniejszy aspekt osłabiający dominujący duopol. Jednak marketingowe maszyny obu

ugrupowań zapewne dostrzegły to zagrożenie i spróbują wkroczyć ze swoją ofertą na nieopatrnie utracone pole.

Będzie to tym łatwiejsze, że w dziele tym nie będą miały poważnych rywali. Przynajmniej przez najbliższy rok, do czasu rozpoczęcia kampanii prezydenckiej. To tam po raz pierwszy mógłby się pojawić kandydat spoza PO i PiS, potrafiący lepiej niż Bronisław Komorowski i Jarosław Kaczyński dotrzeć do 20- i 30-latków. Dziś wiadomo, że takich zdolności nie ma ani Zbigniew Ziobro, ani Jarosław Gowin. Nie ma ich także z pewnością ani Leszek Miller, ani Janusz Piechociński. Jeżeli w wyścigu prezydenckim 2015 r. nie pojawi się polityk zdolny do zmobilizowania młodego elektoratu, będziemy mieli do czynienia z kolejną odsłoną dominacji formacji Kaczyńskiego i Tuska.

### Kaczyński odgadł Polaków

Dlaczego duopol wyborczy PO-PiS jest tak silny? Jak trafnie zauważył przed laty prof. Paweł Śpiewak, Kaczyński „dotknął bardzo głębokich polskich emocji, które wyczuł lepiej od innych”. Te emocje – zdaniem Śpiewaka – były połączone z barierami awansu stworzonymi przez system, w którym o obejmowaniu stanowisk często decydują nie kompetencje, lecz znajomości. A także z potrzebą istnienia silnej władzy, zdolnej do stawiania czoła problemom. Te same dwie emocje znajdziemy na czołówkach tabloidów. Krytykę niemożności władzy i karier po znajomości. „Poważna prasa” żyje zaś oburzeniem wobec tak uproszczonej wizji świata. Oburzeniem wobec władzy przekraczającej swoje kompetencje. To Kaczyński wprowadził innowację, zmieniając osie rywalizacji. Tusk z tej innowacji skorzystał, dysponując większymi (w istotnej części

zmobilizowanymi przez Kaczyńskiego) zasobami.

Co więcej, Kaczyński i Tusk złączyli zagospodarowali pole tradycyjnie rozumianej lewicy. Kaczyński lepiej niż Miller wyraża emocje tych, którzy tracą na obecnej fazie kapitalistycznych porządków. Tusk nauczył się pozyskiwać zwolenników obyczajowego liberalizmu, wykazując, że Platforma jest siłą rozumiejącą postulaty dotyczące związków partnerskich czy wsparcia dla procedur in vitro, nawet za cenę konfrontacji z hierarchią kościelną.

**Czasami trudno oprzeć się  
wrażeniu, że politycy obu  
ugrupowań grają swe role  
z przekonaniem, że nic od  
nich nie zależy, że miejsca  
rządzących i opozycji są im  
przypisane na stałe**

Tusk i Kaczyński nie są jednak zakamuflowaną centrolewicą. Obaj potrafią świetnie nawiązywać do konserwatywnych odruchów: lęków przed naruszeniem społecznego status quo (Tusk) i lęków przed laicyzacją i jej obyczajowymi skutkami (Kaczyński). Ich partie niezwykle sprawnie i zgodnie eliminują też wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne inne frakcje.

Głównym polem, na którym rozgrywa się generująca poparcie dla obu formacji „wojna”, jest sfera budzących emocje symboli. Do sporu między PO a PiS dopisano bowiem wszelkie możliwe animozje, pieczołowicie selekcionując te, które wzmocnią antagonizm. Spór, który na początku

– w latach 2004–2005 – był często politycznie jałowy, nabierał ciała poprzez wyciąganie symboli, które poruszały serca, wzbudzały gniew, pogardę lub irytację. Toksyczny konflikt między aktorami na scenie wciągał coraz szersze kręgi publiczności. Z czasem dziwni wydali się ci, którzy odmawiali jednoznacznego zaangażowania się po którejs z stron.

W tym sensie rywalizacja PO-PiS jest również zanurzona w podstawowym paradigmatcie „inteligentnej polityki” ostatnich dekad, jakim jest nadwartościowanie gestu. Warto też dodać, że znaczenie gestu, jako pozornej często, ale łatwej do zrozumienia i opisanie części polityki, bardzo odpowiada logice funkcjonowania znaczącej części opiniotwórczych mediów po obu stronach. Skoro gest wywołuje emocje, to z pewnością mówienie o nim zatrzyma na dłużej widzów programu telewizyjnego, umieszczony na okładce tygodnika – skłoni czytelników do zakupu.

### **Czy chcecie wygrać?**

System polityczno-medialny napędzany przez konflikt PO-PiS jest jałowy nie dlatego, że prowadzi do mało merytorycznych debat. Jego jałowość polega na tym, że pozwala Tuskowi lekceważyć kwestie jakości rządzenia. Błędy i problemy rządu, które dały krótkotrwałą przewagę PiS w sondażach, nie przełożyły się bowiem na wynik wyborczy. By poważnie myśleć o przejściu władzy, ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego powinno zdobyć wyraźną przewagę nad PO. A to oznacza zdolność mobilizacji dodatkowych grup wyborców. Każdy, kto pamięta pewien rozpęd polityczny, jaki towarzyszył marszowi po władzę AWS Krzaklewskiego, SLD Millera czy PiS braci Kaczyńskich w roku 2005, dostrzeże bez trudu, że podobnego rozpędu

nie ma dziś w Prawie i Sprawiedliwości. Nie widać go ani w kampanii wyborczej, ani w codziennej pracy politycznej tej formacji.

Konflikt PO-PiS rozgrywany jest przez obie strony rutynowo. Czasami trudno oprzeć się wrażeniu, że politycy obu partii grają swe role z przekonaniem, że nic od nich nie zależy, że miejsca rządzących i opozycji są im przypisane na stałe. Przymieniają wręcz bohaterów antycznej tragedii. Wynik wyborów do PE wydaje się obie strony w tym przekonaniu utwierdzać. Klęska PRJG, SPZZ i EPTR stanowi dla Tuska i Kaczyńskiego wystarczający powód satysfakcji i daje obu formacjom oddech. Można wrócić na z góry upatrzone pozycje, czerpiąc energię z kolejnych symbolicznych utarczek, takich jak choćby ostatnie spory wokół pogrzebu Wojciecha Jaruzelskiego. I jeżeli w wyborach prezydenckich nie pojawi się nowy kandydat spoza partii parlamentarnych – mechanizm ten będzie pracował jeszcze na układ sił w kolejnej kadencji.

Będzie pracował zarówno za milczącą zgodą PiS, jak i wbrew takiej zgodzie. Wbrew intencjom części przynajmniej polityków tego ugrupowania, naprawdę chcących zastąpić PO u steru władzy. By te intencje uznać za wiarygodne, w najbliższych tygodniach powinny paść nowe polityczne pomysły. Pomysły dotyczące „zagospodarowania elektoratów” przegranych partii centroprawicowych i mobilizacji wyborców, którzy 25 maja nie poszli głosować. Brak takich pomysłów potwierdzi fatalne – z punktu widzenia efektywności mechanizmu demokratycznego – przypuszczenie, że spora część polityków tej formacji czuje się w opozycji całkiem dobrze i raczej obawia się kłopotów z rządem, niż czyha na kolejne potknięcia PO i PSL.

## Jeśli się sprzedawać, to drogo!



**JACEK BARTOSIAK**

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

**Barack Obama chce amerykańskie interesy w Europie Środkowo-Wschodniej załatwiać polskimi rękami i nic za to nie płacić. Dobrze byłoby mu przypomnieć, że mamy inne oferty.**

Deklaracje prezydenta Obamy podczas wizyty w Warszawie były, co najmniej, miałki. Amerykanie nie uważają najwyraźniej w tej chwili Rosji za poważne zagrożenie. Nie angażują więc w tej części świata zbyt wielu sił ani nie chcą nam specjalnie pomagać.

Miliard dolarów to przecież nie jest w ogóle poważna suma w kontekście tego, co oficjele amerykańscy proponują swoim azjatyckim sojusznikom, których Stany chcą zbroić, by stworzyć przeciwwagę dla Chin.

Amerykanom niepokój na wschodniej Ukrainie jest w tym kontekście nawet na rękę. Rosja trochę ugrzęzła w tej sytuacji i ponosi teraz gospodarcze i wizerunkowe straty. Putin rozpaczliwie chce więc zademonstrować, że może i chce ruszyć do dyplomatycznej ofensywy i, jak pokazuje ostatni kontrakt gazowy z Chinami, jest w związku z tym w stanie pójść na daleko idące ustępstwa.

To, że Rosję można kupić tanio, jest zaś dla Ameryki bardzo dobrą wiadomo-

ścią. Waszyngton montuje bowiem koalicję młodszych partnerów, którzy mogą się przydać w konflikcie z Chinami. By Rosję zmiękczyć, może jeszcze zechcieć ostatecznie wyrwać z jej strefy wpływów Ukrainę. Najlepiej byłoby to jednak załatwić naszymi, czyli polskimi rękami, i nic za to nie zapłacić.

Chodzi o to, aby kraje takie jak Polska trochę na niedźwiedzia poszczuć, ale też nie szczuć ich za bardzo i nie doprowadzać do jatki. Ameryka nie chce oczywiście, aby Rosja była imperium. Chce jednak, aby Rosja była na tyle silna, by można ją było rozgrywać wobec Chin. By zabezpieczała swoje południowe muzułmańskie pogranicze; oraz by przeciwdziałała proliferacji broni masowego rażenia. USA zupełnie zaś nie zależy na tym, na czym powinno zależeć nam, czyli na tym, aby Federacja Rosyjska się zwyczajnie rozpadła.

Warto również podkreślić, że amerykańska strategia rozgrywania Rosji i Europy Wschodniej narusza poważnie inte-

resy niemieckie. Niemcy chcą bowiem razem z Rosją stworzyć eurazjatycką przeciwwagę dla USA. Poszukują na wschodzie tzw. głębi strategicznej. Nie chcą więc w Polsce brygad natowskich, które trzymałyby rosyjskiego niedźwiedzia na łańcuchu, ani tym bardziej kolejnego resetu na linii Moskwa–Waszyngton. Niemiecka oferta dla Polski jest prosta: my wam zagwarantujemy względne bezpieczeństwo i stabilność gospodarczą, a wy nie będziecie dogadywać się z Amerykanami i pozwolicie nam robić interesy z Władimirem nad waszymi głowami.

Taki układ pozwoliłby Niemcom długo i spokojnie rosnać w siłę. Polska ma więc wybór: Niemcy albo USA. Myślę, że w związku z tym w najbliższych dniach wywierana będzie ogromna presja na premiera Tuska. Zaś co do oferty amerykańskiej, myślę, że USA stanowczo nas nie doceniły. I to nawet przy założeniu, że ich główne interesy związane są obecnie ze wschodnim Pacyfikiem. Za śmieszne wsparcie wojskowe Obama chce bowiem nie tylko naszej wierności, ale i większego otwarcia polskiego przemysłu na zagraniczny kapitał, oraz wyprzedaży amerykańskim koncernom złóż kopalin, w tym gazu łupkowego.

## **Chodzi o to, aby kraje takie jak Polska trochę na niedźwiedzia poszczuć, ale też nie szczuć ich za bardzo i nie doprowadzać do jatki**

Amerykanie wyraźnie nie wzięli pod uwagę, że mamy inne opcje. Już teraz poprzez UE znacznie więcej pieniędzy otrzymujemy przecież z Berlina. Chiny także są coraz bardziej zainteresowane inwestowaniem w Polsce i w regionie. Rosja nie jest zaś jeszcze dla Polski zagrożeniem egzystencjalnym. Tymczasem bez naszej pomocy Amerykanie stracą ważny przychówek, który oddziela niemiecką technologię od potężnych zasobów w Eurazji. Dobrze byłoby tę sytuację Amerykanom uświadomić i prowadzić równocześnie twarde negocjacje zarówno z Berlinem, jak i z Waszyngtonem, patrząc wciąż na to, kto może dać więcej. Wątpię jednak, aby u nas ktoś potrafił zaangażować się w takie rozegranie obecnej sytuacji.

## Wielka niewola bankowa



### KRZYSZTOF RYBIŃSKI

Profesor ekonomii, publicysta,  
rektor Akademii Finansów i Biznesu Vistula

**Odwrócona hipoteka, z różnymi kruczkami w umowach zapisanymi drobnym maczkiem, z ukrytymi marżami, może się dla wielu ludzi okazać pułapką.**

Na rozpoczynającym się w tym tygodniu posiedzeniu Sejm zajmie się projektem ustawy o odwróconym kredycie hipotecznym, autorstwa resortu finansów. Zgodnie z nim bank będzie wypłacał klientowi świadczenie pieniężne zabezpieczone hipoteką ustanowioną na jego domu czy mieszkaniu. To zła wiadomość. Odwrócone hipoteki nie rozwiążą problemu emerytur, bo on się pojawi najwcześniej za 20 lat. Działania powinny raczej być skierowane na rynek nieruchomości. Na jego upłynnienie. Aby działał szybko, sprawnie. Wtedy nie będzie potrzebny pośrednik, którym jest bank. Bowiem bank bierze prowizję, która może wynosić dużą część wartości danej nieruchomości.

W Polsce ludzie bardzo często nabywają różne produkty finansowe, nie rozumiejąc, co to jest i jakie się z tym wiąże ryzyko. Wielu ludzi w ten sposób straciło pieniądze, nierzadko cały majątek. Niektórzy ludzie pozakładali lokaty w bankach, które potem okazywały się agresywnymi funduszami. Podobnie było z kredytami na mieszkania we frankach szwajcarskich.

Ci, którzy się na taki kredyt zdecydowali, dziś mają do spłacenia o połowę więcej, niż pożyczili. Stali się niewolnikami banku. To wszystko wynika z faktu, że ludzie nie byli w szkole uczeni finansów i nie mają o tym pojęcia. To dotyczy w szczególności osób starszych, które na dodatek słabo obsługują komputer i często nie potrafią korzystać z Internetu. Łatwo można je nabrać.

W Polsce szerzy się plaga sprzedaży promocyjnych na kredyt dla seniorów, w sanatoriach, domach wczasowych. Wcisną im się garnki za 4 tys. zł, które są warte najwyżej tysiąc. I potem się okazuje, że cała renta idzie na spłatę rat kredytowych. A to bardzo drogie kredyty. Ludzie nie mają pojęcia, co to jest pierwszy i drugi filar emerytalny. Są przekonani, jak wynika z badań, że odwrócona hipoteka to dożywotnia emerytura świadczona przez państwo. Obawiam się więc, że z tych powodów stworzenie możliwości powszechnego korzystania z tego produktu dla wielu osób może skończyć się tragicznie.

Na dodatek problem z systemem emerytalnym nie jest problemem obecnego

pokolenia seniorów. Dziś stopa zastąpienia, czyli relacja emerytury do wynagrodzenia, wynosi w Polsce nieco mniej niż 50 proc. Za 20, 30 lat, kiedy moje pokolenie odejdzie na emeryturę, stopa zastąpienia będzie dwukrotnie niższa niż obecnie, czyli będzie wynosiła ok. 25 proc. Wtedy pojawi się problem, jak żyć godnie na stare lata, gdy ktoś nie ma żadnych oszczędności. Moim zdaniem więc grupa docelowa odwróconych hipotek, czyli obecni seniorzy, ich w ogóle nie potrzebuje. Mają wobec tego, co będzie w przyszłości, godziwe renty i emerytury.

Po drugie istnieje ryzyko, że zostaną oszukani, ponieważ marże bankowe w tych produktach będą kolosalne. Umowy mogą mieć różne zapisy, które będą powodowały, że stracą mieszkanie. Sankcjonowana ustawowo hipoteka w ciągu najbliższych lat może wyrządzić wiele szkód. O wiele lepszym rozwiązaniem byłoby stworzenie rynku nieruchomości, na którym można szybko i sprawnie sprzedać mieszkanie, a następnie kupić czy wynająć mniejsze. Natomiast odwrócona hipoteka, z różnymi kruczkami w umowach zapisanymi drobnym maczkiem, z ukrytymi marżami, może się dla wielu ludzi okazać pułapką.

Polski sektor bankowy, w skali świata, jest w pierwszej czwórce względem pozycji wobec klienta, to znaczy, że istniejące procedury i regulacje na tyle chronią i wspierają banki, iż mogą klienta, który nie spłaca kredytu, błyskawicznie pozbawić aktywów, które posiada.

Windykacja, błyskawiczna decyzja sądu i komornik na głowie. Banki mogą korzystać z tej przewagi prawnej także w przypadku odwróconych kredytów hipotecznych, by zwiększyć swoje zyski.

Zapewnienia resortu finansów o tym, że ustawa została tak sformułowana, by chronić konsumentów, mnie nie przeko-

nują. W starciu z instytucją finansową regulator zawsze przegrywa. Za każdym razem pojawiają się luki prawne. Przykłady z całego świata, od USA, przez Europę Zachodnią, po Polskę pokazują, że instytucje finansowe są sobie w stanie poradzić z dowolnym prawem. Tak będzie i tym razem. Instytucje różnych sektorów inwestują miliardy euro po to, by uzależnić konsumenta od swoich produktów.

**W cyklu życia od 30-ki do śmierci bank ma klienta, który mu cały czas płaci wysokie prowizje, odsetki i marże związane z mieszkaniem. To idealna sytuacja dla banku**

Instytucje finansowe również inwestują potężne środki w to, by zbudować sobie rynek. Największym rynkiem dla banków są nieruchomości. Kredyty na nieruchomości w Polsce przewyższają kredyty dla firm. Co zrobić, by przytrzymać klienta, który wziął kredyt na mieszkanie na 30 lat, i te 30 lat minęło? A on ten kredyt spłacił? Bank go traci. Więc, by go przytrzymać, proponuje mu odwróconą hipotekę. Płacił marżę, odsetki i prowizję, by kupić mieszkanie, więc teraz będzie płacił marżę, prowizję i odsetki, by tego mieszkania się pozbyć.

W cyklu życia od 30-ki do śmierci bank ma klienta, który mu cały czas płaci wysokie prowizje, odsetki i marże związane z mieszkaniem. To idealna sytuacja dla banku. Odwrócony kredyt hipoteczny

stanowi więc grę o to, by banki miały dodatkowy rynek. Sektor bankowy ma zresztą swoich posłów i senatorów, jak wykazałem w swojej książce „Wpływ grup interesów na stanowienie prawa w Polsce”. Jedną z firm lobbingowych otwarcie wskazała, którzy posłowie i senatorowie są wynajęci do tego, by realizować interesy takiego czy innego sektora.

W tenże sposób sektor bankowy inicjuje powstawanie prawa, które pozornie ma chronić konsumentów, a w rzeczywistości tworzy nowy rynek i tym samym dodatkowe zyski dla instytucji finanso-

wych. Tak jest we wszystkich krajach Zachodu. To, że bank do tego dąży, jest zrozumiałe. Naganne jest natomiast to, że w Polsce mechanizmy kontrolne są tak słabe. Od tego są UOKiK i NIK oraz inne organy w państwie, w tym Sejm i Senat, by nie dopuszczać do powstawania takich projektów. Odwrócone kredyty hipoteczne mogą bowiem doprowadzić ostatecznie do osłabienia więzi pokoleniowych, rodzinnych. Jeżeli bowiem senior mieszkanie straci, jego dzieci będą znów musiały wziąć kredyt, by kupić kolejne. I krąg się zamyka. Spirala się nakręca.

## Czy żałować róż na kraterze?



### EWA THOMPSON

Profesor literatury w Rice University,  
badaczka postkolonializmu

**Ta książka generuje sympatię i współczucie, gdy dotyczy maszyny Gułagu w Sowietach. Podnosi jednak również kwestię braku lojalności polskiej arystokracji, w tym samego autora, wobec swoich korzeni.**

Dwa rodzaje czytelników prawdopodobnie sięgają po „Na krawędzi krateru” Michała Giedroycia. Pierwszymi są pasjonaci historii z USA i Anglii (oryginał został wydany po angielsku); ludzie zainteresowani II wojną światową i poszukujący związanych z nią niezwykłych historii. Do drugiego rodzaju czytelników przejdę poniżej nieco później.

### Na nieludzkiej ziemi

To na pewno niezwykła historia. Małoletni potomek arystokratycznego rodu w Polsce zostaje deportowany wraz z matką i dwiema siostrami (i milionem innych polskich obywateli) do sowieckiego Gułagu w chwili podboju wschodniej Polski przez Sowieców jesienią 1939 r.

W międzyczasie Rosjanie aresztują ojca rodziny, torturują go, poniżają i w końcu zabijają (na końcu książki jest krótki opis śmierci ojca zlepiony z informacji uzyskanych od jego współwięźniów, którzy przeżyli). Następuje dobrze znana relacja podróży na Syberię: wagony bydłce, do

których ludzki towar jest wciskany jak sardynki do beczki, bez wody czy jedzenia przez wiele tygodni i dziurą w podłodze w postaci latryny; przypadki śmierci w czasie podróży; w końcu osiedlenie przy granicy z Kazachstanem, gdzie dziewczynki Giedroycia zostają wysłane do lasu ścinać drzewa, a ich matka usiłuje zdobyć dodatkową żywność, szyjąc.

Stało to wszystko w niewyobrażalnym kontraście z ich spokojnym trybem życia przed atakiem Sowieców. Rodzinna posiadłość w Łobzowie, z dziewięciopokojowym dworem i tradycyjną polską przygraniczną gościnnością, znajdowała się pośrodku morza białoruskich i polskich chłopów małorolnych, którzy, jak autor podkreśla, byli zamożniejsi niż najbogatsi z mieszkańców rosyjsko-kazachskiego kołchozu, do którego został deportowany. Przedwojenne wiejskie życie jest opisane w sposób wzruszający, od zgiełku wokół hodowli krów i świń po eleganckie przyjęcia, które książęca rodzina Giedroyciów urządzała dla przyjaciół i rodziny. Ojciec rodziny był senatorem, podczas gdy matka

poходила z linii mniej dystyngowanej, ale za to zajadłe patriotycznej. Obie rodziny stały się więc ofiarami rosyjskiej agresji.

### Historia dżentelmena

Ta opowieść jest częścią całej serii książek napisanych przez polskich ocalałych z Gulagu. Wiele takich pozycji ukazało się w przeciągu ostatniej dekady, gdyż ocalali stoją najczęściej przed dylematem: pisać teraz albo nigdy. Dosłownie wszystkie wspomnienia zostały napisane przez tych, których uratował gen. Władysław Anders.

Elementem tej opowieści oraz innych tego rodzaju jest radość polskich rekrutów i ich bliskich z tego, że mają co jeść, z dostępu do opieki medycznej oraz innych atrybutów normalności, której doświadczyli na Bliskim Wschodzie w latach 1942–1944 i która powinna mieć otrzeźwiający efekt na czytelnika. Mężczyźni przeszli szkolenie wojskowe i wysłano ich do walki z Hitlerem. Ci, którzy przeżyli wojnę, osiedlili się w Anglii lub jej koloniach; wśród nich byli autor, jego matka i dwie siostry. Giedroycia przyjęto do University of London, zdobył dyplom w budowie i obsłudze samolotów, ożenił się i założył idealnie brytyjską rodzinę. Jedną z jego córek jest dziś reżyserką.

Z wielu powodów jego historia jest bardziej wartościowa od innych. Po pierwsze, zdolności narratorskie autora są niesamowite. Styl przypomina Brytyjczyka z wyższej klasy średniej opowiadającego okropne przygody, taka swoista powtórka z „Dr. Livingstone’a, jak przypuszczam?”. W posłowniu autor przypisuje przysługę bezwzględne oddzielenia ziarna od plew wydawcom. Jednak rola wydawcy musiała być marginalna: książka jest uderzająco oryginalna, podczas gdy wydawcy mają tendencję do nałożenia warstwy jednoli-

wości na tekst, który redagują. Autor relacjonuje swoje piekielne doświadczenia z dowcipem, spokojem i ogromną dawką powściągliwości. Nigdzie w książce nie pojawia się ten ton „spójrzcie na mnie biedaka”, który często przenika historie ocalałych.

**Oczekiwano, że arystokracja odplaci się za swoje przywileje, służąc państwu w potrzebie. Stanowcze poczucie obowiązku wobec narodu jest jedynym możliwym usprawiedliwieniem dla przywilejów**

Jeśli znakiem jakości i klasy jest brak takiego tonu, to autor zdaje ten test śpiewająco. Potrafi opowiedzieć o „brytyjskim księdzu polowym z homoseksualnymi skłonnościami” tak, by nikogo nie urazić. Królowa Wiktorja zaaprobowałaby jego opis wyjątkowo okrutnych morderstw na tle etnicznym, epidemii dezynterii i wszy na pokładzie statku wiozącego tych kilku szczęśliwych w bezpieczne strony, nie wspominając o jego narracji o dziewięciu latach spędzonych w syberyjskiej wiosce Nikolajewka, gdzie dziewięć osób, obojga płci, niegdyś członków wyższej klasy średniej, stało się marginesem społecznym żyjącym jako komuna w jednym małym pokoju.

Nienaganny polski autor i jego zdolność pamiętania detali czyni z tej opowieści

jedną z nielicznych, które poprawnie definiują różnorodne, trudne do wytłumaczenia sytuacje przenikania się kultur. Polskie i brytyjskie systemy szkolne są sprawnie nałożone na siebie, podobnie jak różne warstwy społeczne i obyczaje. Książka zasługuje na pochwałę choćby tylko z powodu umiejętności Giedroycia przelania jednej kultury w drugą.

Jako fragment mozaiki II wojny światowej jest jeszcze bardziej wartościowa. Opowiada historię, która musi zostać opowiedziana, by demitologizować tę wojnę jak walkę między dobrem a złem. Podczas gdy nie było dobrych facetów po stronie Niemców (błagam! Czy wy wiecie, co pisał Claus von Stauffenberg w listach do domu?), było też pełno złych ludzi po stronie Rosjan.

Także eufemizmy „naziści” i „Sowietci” nie są pomocne w stworzeniu prawdziwego obrazu wojny: to Niemcy, a nie mityczni „naziści” walczyli po jednej ze stron i popełnili niewyobrażalne zbrodnie, i to Rosjanie popełnili mało znane, ale równie niewyobrażalne zbrodnie na terytoriach, które okupowali. Przy całej godnej podziwu delikatności, z którą okrucieństwo jest opisywane w tej książce, autor nie przebiera w słowach ani nie używa eufemizmów, gdy mówi o rzeczach fundamentalnych. Także umiejętność tworzenia historycznych paraleli daje kilka fascynujących akapitów. Kilka z jego niedobrowolnych podróży nałożyło się na wędrówkę Aleksandra Wielkiego do Azji. Był w Palestynie, kiedy hotel Króla Dawida został zbombardowany; słyszał eksplozję. Wśród Polaków uratowanych przez gen. Andersa był Menachem Begin, który brał udział w ataku. Wraz z tysiącami innych polskich Żydów opuścił armię Andersa, by toczyć swoją własną bitwę – kolejny mało znany detal II wojny światowej.

## Zdradzeni przez arystokratów

Po wyczerpaniu się wszystkich pochwał na temat tej książki pozostaje ta druga kategoria czytelników, o których wspominałam na początku: czytelnicy z Europy Wschodniej. Stworzenie takiej kategorii może brzmieć absurdalnie w uszach Brytyjczyków, ale może nie do końca w uszach Szkotów czy Irlandczyków, gdy ich właściciele przypomną sobie swoją utraconą bądź odzyskaną tożsamość. W Europie Wschodniej kwestia tożsamości po dziś dzień pozostaje gorącym tematem debat, gdy wojny należą do przeszłości i nic, jak się wydaje, nie zagraża ewolucji narodości w kierunku zwyczajnego obywatelstwa. W Europie bitwa o tożsamość była zagorzała, podobnie jak poczucie zobowiązania wobec niej. Polska tradycja katolickiej wierności czyni zaś z niej szczególnie ważną kwestię.

Autor należy do poczesnej rodziny, głęboko zakorzenionej przez wieki w polskiej kulturze i języku. Jak wie każdy studiujący minione wieki, oczekiwano, że arystokracja odpłaci się za swoje przywileje, służąc państwu w potrzebie. Stanowcze poczucie obowiązku wobec narodu jest jedynym możliwym usprawiedliwieniem dla przywilejów, z których korzystała arystokracja przez wieki.

W Europie Zachodniej ta odpowiedzialność obywatelska została przejęta przez wybranych oficjeli pochodzących w większości z klas średnich, a arystokracja stała się osobliwym reliktem przeszłości; w Europie Wschodniej, gdzie inwazje nie pozwoliły na wykształcenie się klasy średniej, narody desperacko potrzebowały ludzi zdolnych do stania w ich obronie i pracowania dla nich, nie będąc wybranymi i nie będąc opłaconymi. Ludzie tytułowani byli wśród tych niewielu, którzy

mogli podjąć się tego obowiązku. Niektórzy arystokraci w Polsce dorosli do tej roli. Przykładem takiej postawy są choćby wspomnienia Karoliny Lanckorońskiej (2002) relacjonujące jej życie pełne poświęcenia dla rodaków w okresie przed- i powojennym, nawet w Ravensbrück, gdzie hrabina Lanckorońska została uwięziona przez Niemców.

Jednocześnie jednak polska arystokracja w większości przypadków zawiodła pod tym względem swój kraj, i to nie tylko w czasie II wojny światowej. W latach 80 XX w. w Afryce Południowej natrafiłam na grupę polskich arystokratów szukających dla siebie i rodzin bezpiecznej egzystencji w państwie apartheidu. Ich jedynym wkładem w polską sprawę był udział w corocznym Polskim Balu zorganizowanym przez panie wywodzące się z ich kręgów.

W Stanach Zjednoczonych książęca rodzina Radziwiłłów wżeniła się w kręgi nuworyszów i tyle ich Polska widziała. Gdy przeczytałam więc w „Na krawędzi krateru” opis książęcej rodziny autora, jej korzeni sięgających w XIV w. i opowieści o jej słynnych członkach, których nazwiska przetrwały w historii, mój entuzjazm dla tej historii zdecydowanie zmaleł. Można być oczywiście dumnym ze swoich antenatów, i być może wydawcy skłonili autora do pełnego czerpania z minionej sławy swojego rodu. Stało się jednak szybko jasne, że narrator potraktował swoje książęce pochodzenie jako rodzaj piórka do kapelusza, przydatnego w procesie stania się Brytyjczykiem. Zainstalował się więc szybko w Wielkiej Brytanii, gdzie wiodł przyjemne i produktywne życie.

W biografii autora nic nie wskazuje na to, że jego polskie pochodzenie skłoniło go do tego, by działać na rzecz Polski. Jak sam mówi, jedynie amatorsko zaj-

mował się historią Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz średniowiecznej Rosji.

W jednym z rozdziałów swoich wspomnień opisuje wakacje w Kairze na początku sierpnia 1944 r. (wówczas w Warszawie rozpoczęło się powstanie). Dwa miesiące później, gdy zryw stłumiono, kolejna radosna chwila: przyjazd rodziny autora. Nie mam nic przeciwko temu, by cieszyć się ze swojej rodziny, ale nawet nie wspomniał on o powstaniu na stronach opisujących sierpień i wrzesień 1944 r. Zamiast tego poznajemy ludzi, którzy piją, rozmawiają, płatają sobie figle i, w przypadku kobiet, rozdają swój urok i elegancję. Autor tłumaczy się, mówiąc, że „młodość ma mało czasu dla spraw wagi państwowej”.

Naprawdę? W wieku 16 lat, setki, tysiące polskich chłopców walczyło w ruchu oporu. W Polsce ciężar poświęceń dla zachowania polskiej tożsamości został udźwignięty przez drobną szlachtę, wykształconych mieszczan, a nawet chłopów, ale nie przez arystokratów, którzy z wdzięcznością wtapiali się w społeczeństwa bardziej szczęśliwe niż ich ojczyzna. Jeśli jest jakieś usprawiedliwienie dla szczodrości i szacunku, którym dany naród obdarza swą arystokrację, to jest to jej gotowość do stania w obronie wspólnoty, która potrzebuje obrońców. Nie znalazłam choćby śladu tej świadomości w książce Giedroycia.

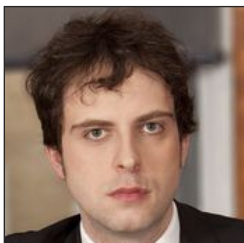
Z punktu widzenia wschodnioeuropejskiego czytelnika jest to zatem opowieść o przetrwaniu i prywatnie, która generuje sympatię i współczucie, gdy dotyczy maszyny Gulagu w Sowietach, lecz podnosi także kwestię braku lojalności polskiej arystokracji wobec jej korzeni. Powtarzam, ja nie krytykuję decyzji autora, by pozostać w Wielkiej Brytanii, powrót do okupowanej przez Sowietów Polski byłby samobój-

stwem. Jednak wielu, którzy zdecydowali się pozostać za granicą, okazywało lojalność i broniło zniewolonej ojczyzny, by wymienić tylko wielkiego krewniaka autora, Jerzego Giedroycia. Dlatego, mimo talentu autora i jego nienaganych manier,

nie jestem w stanie jego książki pochwalić jednoznacznie.

*Michał Giedroyc,  
„Na krawędzi krateru”,  
przekład: Michał Ronikier,  
Wydawnictwo Literackie 2011*

## Jugosławia, czyli o dawaniu złego przykładu



**ADAM KAŁUŻNY**

Prawnik specjalizujący się w prawie podatkowym

**Naloty NATO na Jugosławię miały zapobiec powtórce z Bośni. Cena okazała się jednak wysoka. Jest bowiem miejsce, gdzie operację z 1999 r. zapamiętano bardzo. Miejscem tym jest Moskwa.**

W czerwcu mija 15 lat od zakończenia wojny NATO przeciw Jugosławii, w której trakcie najbogatsze państwa świata rzuciły swoje najnowocześniejsze uzbrojenie do walki z jednym z biedniejszych krajów na kontynencie. Kilkaset kilometrów od polskich granic przez trzy miesiące setki odrzutowców, nie napotykając praktycznie żadnego oporu, niszczyły mosty, lotniska, rafinerie. Rakiety uderzyły m.in. w budynek telewizji, biuro partii politycznej (zgodnie z planem), szpital dziecięcy, pociąg pasażerski, domy mieszkalne (w wyniku pomyłki), za każdym razem zabijając cywilów. Furia ataku była tak wielka, że w stolicy Serbii bombardowania NATO wspomina się na równi z atakami Luftwaffe.

Pamięć o wydarzeniach z wiosny 1999 r. zanika w Europie, tak jak z jej map zniknęło państwo o nazwie Jugosławia. Jednak powinniśmy pamiętać o nich nie tylko z szacunku dla ofiar, ale dlatego, gdyż właśnie one są kluczem do zrozumienia obecnej sytuacji politycznej na naszym kontynencie. Historia operacji

„Allied Force” jest niczym smutna baśń o dawaniu złego przykładu i wyciąganiu mylnych wniosków i jak każda baśń ma swój morał.

### Spirala przemocy

U przyczyn natowskiej interwencji leżały szlachetne intencje. Konflikt etniczny toczący się w Kosowie od końca lat 80. narastał i brutalizował się z każdym rokiem. Jugosłowiańska armia i policja zdemoralizowane doświadczeniami wojny domowej i zakażone w jej trakcie wirusem nacjonalizmu, zamiast zająć pozycję rozjemcy pomiędzy kosowskimi Serbami a Albańczykami (dwoma grupami narodowościowymi, ale obywatelami jednego państwa), stanęła zdecydowanie po stronie Serbów.

Rząd w Belgradzie nie krył się specjalnie z tym, iż jego celem jest wspieranie serbskiego osadnictwa w Kosowie, tak aby docelowo przywrócić w tym regionie przewagę Serbów nad Albańczykami. Ta jednoznacznie szowinistyczna polityka

napędzała zwolenników UCK (Armia Wyzwolenia Kosowa) – albańskiej organizacji terrorystycznej, której założeniem było wypędzenie Serbów i odłączenie się od Jugosławii. Spirala zamachów i następujących po nich akcji pacyfikacyjnych nakręcała się, osiągając punkt, w którym sprawą zajęła się społeczność międzynarodowa. W trakcie negocjacji toczonych pomiędzy przedstawicielami kosowskich Albańczyków, rządu Jugosławii oraz tzw. Grupą Kontaktową (reprezentanci Francji, Niemiec, Rosji, Wielkiej Brytanii, Włoch oraz USA) wypracowano plan pokojowy, lecz ostatecznie został on odrzucony przez Jugosławię, która nie chciała zgodzić się przede wszystkim na wkroczenie wojsk NATO do Kosowa.

Jednocześnie rosła liczba ofiar po obu stronach konfliktu (wydaje się, że zarówno armia Jugosłowiańska, jak i UCK intensyfikowała swoje działania, chcąc zdążyć osiągnąć jak najlepszą pozycję przed spodziewaną interwencją zewnętrzną). Kierujący się humanitarnymi przesłankami przywódcy państw NATO zdecydowali się w tym momencie na militarne wymuszenie wycofania się serbskich wojsk z Kosowa.

### **Miażdżąca przewaga**

Amerykańscy i europejscy politycy dobrze pamiętali tragiczne wydarzenia, jakie miały miejsce kilka lat wcześniej, gdy wstrzeźliwa, ostrożna, a może zwyczajnie tchórzowska polityka Zachodu pozwoliła na tragedię Sarajewa i Srebrenicy. Wydaje się, iż obawa przed swoją opinią publiczną i uraz do Serbów (tym silniejszy, że potęgowany wyrzutami sumienia z powodu własnej bezczynności w Bośni) spowodowały, że planując atak na Jugosławię, zupełnie zapomniano

o konsekwencjach, jakie może on przynieść Europie i światu.

Liczył się tylko jeden cel, przy czym, jak się wydaje, było nim zaprezentowanie siły i determinacji NATO. Gdyby najważniejsze było faktyczne uniemożliwienie Serbom kontynuacji działań ich armii w Kosowie, operacja mogłaby się ograniczyć tylko do tego regionu i celów wyłącznie wojskowych. Kilkaset samolotów najnowszej generacji wspieranych uderzeniami raketowymi z morza stanowiło siłę tak ogromną, że de facto paraliżowało jugosłowiańską armię i policję, co potwierdza zresztą bilans strat w konflikcie (kilka tysięcy zabitych jugosłowiańskich mundurowych i dwóch pilotów amerykańskich, którzy rozbili się w helikopterach poza obszarem działań zbrojnych).

**Jeśli szokuje nas dzisiaj brutalność i cynizm Putina, to pamiętajmy, kto w swoim czasie dał mu zły przykład**

Co gorsza, podjęto decyzję o uderzeniach w infrastrukturę, którą trudno uznać za mającą jakikolwiek bezpośredni wpływ na sytuację militarną w Kosowie. Niszczenie mostów w Nowym Sadzie czy Belgradzie położonym kilkaset kilometrów od Kosowa mogło w pewnym stopniu utrudnić transport zaopatrzenia dla wojsk w zbuntowanej prowincji, jednak przede wszystkim przywodzi na myśl naloty dywanowe z czasów II wojny światowej, których celem było pozabawienie przeciwnika woli walki i zniechęcenie społeczeństwa do przywódców. Czy NATO miało prawo wywierać przy pomocy bomb taki

„psychologiczny wpływ” na mieszkańców serbskich miast? Na pewno nie w świetle prawa międzynarodowego.

### Niebezpieczny precedens

Naloty NATO na Jugosławię były bowiem pierwszą w historii tej organizacji interwencją zbrojną przeprowadzoną bez zgody Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wydaje się, że decydującą rolę przy podejmowaniu tej bezprecedensowej decyzji miały wspomniane powyżej wspomnienia masakry w Jugosławii z pierwszej połowy lat 90. Przywódcy NATO wiedzieli, że zasiadające w Radzie Bezpieczeństwa Rosja i Chiny nie zgodzą się na wydanie rezolucji sankcjonującej atak na Jugosławię, lecz byli zdeterminowani, by tym razem za wszelką cenę nie dopuścić do katastrofy humanitarnej. Cena okazała się wysoka.

Jest bowiem miejsce na świecie, gdzie natowską operację do tej pory pamięta się bardzo dobrze. Miejscem tym jest Moskwa. To, że Putin w sprawie Krymu powołał się na precedens Kosowa i uznania jego niepodległości po serii nalotów, wcale nie jest bowiem tylko pustą retoryką. Myślę, że nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ważną rolę w kształtowaniu się Władimira Putina jako polityka odegrało obserwowanie wydarzeń w Jugosławii tamtej wiosny 1999 r.

Putin był wówczas jeszcze szefem FSB, ale były to już ostatnie chwile przed jego wzlotem na najwyższe stanowiska w państwie. Widział z bliska, jak mimo największych wysiłków rosyjska dyplomacja nie jest w stanie powstrzymać ataku NATO na Serbię, której ochrona była zawsze jednym z elementów tradycji Imperium Rosyjskiego. Rosyjscy przywódcy składali rozpaczliwe deklaracje, obiecywali nie zostawiać Serbów bez pomocy, jednak

nie wpłynęło to w żaden sposób na decyzję zachodnich sojuszników, którzy wiedzieli, że Rosja jest zbyt słaba, by coś zrobić.

To upokorzenie na pewno Putina osobiście bardzo dotknęło. Jednak przede wszystkim dostał on wtedy (przypomnijmy: w kluczowym momencie, na samym początku kariery politycznej, w sierpniu 1999 r. został premierem, a w sylwestrową noc ustępujący Jelcyn wyznaczył go na swojego następcę) lekcję realpolitik – racja leży po stronie silniejszego, a zwycięzców nikt nie sądzi. NATO zrealizowało swoje założenia, gdyż nikt nie potrafił mu się sprzeciwić. Zabici cywile zostali uznani w oficjalnej terminologii za tzw. collateral damage: niezamierzone, przypadkowe, ale jednocześnie nieuniknione ofiary nalotów. Za ich śmierć, uznaną za nieszczęśliwy wypadek, nie odpowiedział nikt, a mówimy o prawdopodobnie blisko 2 tys. osób (dokładna liczba zabitych do dziś nie jest znana). Jak ta nauka wpłynęła na Putin, możemy się domyślić: niedługo później w Rosji wyleciały w powietrze domy mieszkalne, rozpoczęła się brutalna pacyfikacja Czeczenii – collateral damages liczono w tysiącach.

Czy Putin wyciągnął z natowskiej operacji w Jugosławii słuszne wnioski? Pewnie nie, atak NATO był odpowiedzią na rzeczywisty problem i miał w planach zapobieżenie realnej groźbie ludobójstwa, podczas gdy wojny Putina: od Czeczenii, przez Osetię Południową i Abchazję, aż po Krym i wschodnią Ukrainę, choć uzasadniane również humanitarnymi przesłankami, w rzeczywistości opierają się na casus belli sfabrykowanym. Tylko czy jest to dla nas w jakikolwiek sposób pocieszające? Jeśli szokuje nas dzisiaj brutalność i cynizm Putina, to pamiętajmy, kto w swoim czasie dał mu zły przykład. Z tej perspektywy operację w Jugosławii

trzeba uznać za klęskę NATO. Jej jedynym pozytywnym skutkiem było zatrzymanie działań Serbów w Kosowie i ocalenie nieznannej liczby potencjalnych ofiar. Jednak jeśli cel ten osiągnięto kosztem życia 88 serbskich dzieci, to trudno mówić o jakimkolwiek sukcesie.

W historii belgradzkiego ZOO dwa zwierzęta cieszyły się szczególną sympatią pracowników i zwiedzających: aligator przywieziony z Florydy w latach 30., który przeżył niemieckie bombardowania z wiosny 1941 r. (i wciąż żyje!), oraz tygrys,

który w panicznym strachu wywołanym hukiem eksplozji i rykiem silników wiosną 1999 r. odgryzł sobie przednie łapy. Podobno belgradzycy widzieli w nim siebie – ludzi niegdyś dumnych i odważnych, których śmiertelnie nastraszono i którym wyrwano pazury. Wspomnienie nalotów wzbudza w nich pewne zażenowanie, nie lubią wracać wspomnieniami do czasów, gdy obracano w ruinę ich miasta, a oni nie mogąc nic z tym zrobić, bezsilni kulili się w piwnicach, nasłuchując odrzutowców. Ale to nie oni powinni się wstydzić.

## Wesprzyj nas

**Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.**

**Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.**

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

**09 1560 0013 2376 9529 1000 0001** (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

### **Dlaczego warto nas wspierać?**

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnienia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

**„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania.** Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

**Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce** (art. 16 ustawy o fundacjach) **zwolnione z podatku**. Co więcej, **podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

## O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

### **Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.**

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

### **Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.**

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

### **Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.**

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

**Dlaczego konfederacja?** Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

### **Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!**

## „Nową Konfederację” tworzą

### **Stali Darczyńcy:**

Dwudziestu Trzech Anonimowych Stałych Darczyńców, Paweł Gałus, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Woźny

### **Pozostali Darczyńcy:**

Trzydziestu Dziewięciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski.

(Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

### **Redakcja:**

Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski (sekretarz redakcji)

**Redaktor prowadzący:** Michał Kuź

### **Stali współpracownicy:**

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Tomasz Pichór, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke

**Grafika (okładki):** Piotr Promiński

### **Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:**

Przemysław Skrzydelski

**Komunikacja internetowa:** Michał Kuź

**Skład:** Rafał Siwik

**Wydawca:** Fundacja Nowa Rzeczpospolita

**Kontakt:** redakcja@nowakonfederacja.pl

### **Adres (wyłącznie do korespondencji):**

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa